

Wrzesień

Wrzesień wślizgnął się bezgłośnie. Był chudy, wymarznięty i rozglądał się wokół, jakby kogoś szukał.

A poprzednia jesień, beztroska i tłusta, ciągle zanosila się świszczącym śmiechem. Nie mówiła nic o zimie. Zajmowała się tylko sobą i nawet czkać umiała radośnie.

Ile lat minęło od ostatniej jesieni?

Tego roku Wrzesień wie więcej, dlatego jest ostrożny. Sierpień powiedział mu o śmierci. Pokazał palcem – otulone trawą truchło lisa w rowie. Lis miał rozdęty brzuch i rdzawy ogon, który kojarzył się Wrześniowi z matką. Z rondem kapelusza, z kolorem jej oczu, z barwą szminki. Matka była ciepłem.

A teraz poczuł pierwszy powiew chłodu. Gdzieś na horyzoncie kroczył wiatr, miał zamknięte oczy. Matka mówiła, że wiatr jest głuchy i ślepy, i zawsze chodzi swoimi ścieżkami. Nie wolno go rozgniewać. Wrzesień pobiegł za nim, ale nie mógł go dogonić. W końcu przystanął. Przed oczami wirowały mu nitki, białe, jedwabiste. Zrozumiał, że to ciało matki unosi się w powietrzu pod postacią pajęczyny. Nici wzlatywały ku górze, niesione podmuchem wiatru, i choć próbował, nie był w stanie pochwycić ani jednego strzępka.

Został sam. Słoneczniki wokół niego pochylały opasłe głowy, jakby nie mogły utrzymać ich ciężaru na zbyt długich szyjach. Gdzieś daleko chrząszcze grabarze już zaczęły taniec na zezwłoku lisa.

Usłyszał cichy, zawodzący śpiew trawy, i zrozumiał, że trawa wie o czymś, co Wrzesień dopiero pozna; trawa zna tajemnicę, którą zdradziła jej ziemia. A ziemia nigdy nie kłamie. Wrzesień ukląkł i nasłuchiwał, ale trawa zamilkła. Ziemia też milczała, ta, która jest zawsze łapczywa, która chciwie chłonie wodę i krew. W powietrzu unosił się zapach dojrzałych śliwek, mokrych liści i gnijących kwiatów. Gdzieś w oddali drżało powietrze. Gdzieś w oddali działy się rzeczy, które dopiero przeczuwał, bo nie znał słów, którymi mógłby je nazwać.

Chłód go usypiał, ale nie uspokajał. Może tak musiało być, może powinien się z tym wszystkim pogodzić. Sierpień olśniewał światłem, ale teraz świat wkraczał w ciemność, smugi cienia stawały się dłuższe i bardziej miękkie.

Na gałęzi usiadł umęczony wróbel i zachwiał się, jakby zaraz miał spaść. Kilka połamanych lotek zwisało smętnie, po kilku piórach zostały tylko obnażone dudki, jak cienkie patyki. Ktoś musiał zadać sobie wiele

trudu, próbując złapać wróbla. Potem wrywał pióra jedno po drugim, a małe życie nie przestawało się szamotać. Jak głośno bije takie drobne serce? Katem mógł być każdy odrobinę większy od wróbla. Katem mógł być każdy, kto się nudził i chciał wypełnić nudę cudzym cierpieniem.

Wtem usłyszał dźwięk i przez chwilę nie wiedział, czy to gdzieś nieopodal biją dzwony, czy z oddali niesie się huk wybuchających bomb. Trawa zaszumiała i znów zaczęła śpiewać: o spękanej ziemi, która wkrótce nasyci się krwią. O suchej ziemi, która wkrótce nasyci się czerwienią i pozostanie wilgotna przez lata. O ludziach, których otuli ziemia.

Chciał policzyć, ile dni mu zostało. Ale niestety, jak to z miesiącami bywa – nie miał palców.

